TOMEK

**Hoffnung**[[1]](#footnote-1)

Na Ziemi już od kilkuset lat nie działo się nic szczególnego. Ludności było tyle ile trzeba, dziura ozonowa się zatkała, albo ktoś ją zatkał, udoskonalono pozyskiwanie energii odnawialnej, głównie ze śmieci, bo słońce się zbuntowało i zaczęło mniej świecić. Wykorzystał to Księżyc i rozbłysł, ale energii z niego póki co nie udało się pozyskać. Ale co tam, klimat się ustatkował. Roślinność się do niego przystosowała. Człowiek też. W sumie więc ludzie żyli jak za pradawnych czasów, przed kilkoma potopami, czyli w Raju, Edenie czy innej idylli. Spokojnie pracowali, jeszcze spokojniej wypoczywali delektując się dobrobytem. Szukali rozrywek na miarę swych możliwości i pragnień, żeby życie za monotonne nie było. Ruszali więc na dalekie wycieczki, oczywiście pojazdami o charakterze kosmicznym. Takowe poruszały się już bardzo szybko, zatem dolot na takiego Marsa trwał krótko.

W związku z dobrą sytuacją na Ziemi Marsa nie trzeba było zaludniać, jak to się ongiś wydawało. Planeta była jednak najbliżej Ziemi i właśnie to położenie sprawiło, iż zaczęto ja eksploatować. Pierwszą firmą, która postanowiła zainwestować w czerwoną piasek była korporacja „Castrop and comapany” zajmująca się ekologicznym eksploatowaniem złóż wszelkich. Jej właściciel Jan Kastorpowski, z pochodzenie Niemiec, z urodzenia Ziemianin, przeżył nieszczęśliwą miłość do Klaudii C. i z rozpaczy udał się na Marsa, by tam oddać się żałobie po umarłym uczuciu. Zabrał ze sobą kilka antycznych dzieł literackich w antycznym wydaniu czyli w postaci książek na czytniku, który zastąpiony został hologramami. Czytał, a przy okazji wybudował sanatorium, by w blasku czerwonej materii ludzie mogli leczyć wszelkie schorzenia i utrapienia, co niekiedy się im przytrafiało. Wybudowane przez niego sanatorium utrzymane było w klimacie vintage z odwołaniem do początków XX wieku, a jego patronem stał się Tomasz Mann i jego czarodziejska góra w legendarnym Davos[[2]](#footnote-2) (lub Sokołowsku, według teorii Tokarczuk[[3]](#footnote-3)), a nazywało się Hoffnung.

I właśnie przyleciała kolejna grupa kuracjuszy na dwumiesięczne leczenie z nadzieją na polepszenie tego, co dobre było....

Jan z najwyższej kopuły przyglądał się nowym przybyszom z Ziemi. Tradycyjnie byli to ludzie bogaci, bo tylko tych stać było na wyprawę na Marsa oraz załamani psychicznie z powodu zachwiania równowagi genów lub nieszczęśliwej miłości, bo głównie takich leczono tu według starej technologii. Wysiedli z łodzi kosmicznej w skafandrach ognio, wodo i tlenoszczelnych, rozejrzeli się wokół i westchnęli. Kierowani przez pracowników sanatorium weszli do pierwszego z budynków całego kompleksu. Kiedy już zakwaterowali się w swych pokojach, Jan zaprosił ich do sali bawialnej pełniącej również funkcję jadalni. Każdy otrzymał miejsce przy stole i na przywitanie został poczęstowany nalewką z pilatorii, rośliny hybrydy, która wyjątkowo dobrze radziła sobie na Marsie. Następnie twórca i naczelny lekarz w jednej osobie zapoznał nowych z rozkładem dnia, który to musieli bezwzględnie przestrzegać.

* Podstawowa rzecz – werandowanie, czyli leżenie na leżakach – oznajmił poważnie – Do tego celu służą trzy pomieszczenia pod kopułami. Do każdego z pomieszczeń doprowadzany jest inny rodzaj nawiewu. Jest powietrze górskie, morskie i pustynne. Werandują się państwo trzy razy dziennie po godzinie w każdym z pomieszczeń. Kolejną ważną sprawą są spacery. Mamy do wyboru kilka ścieżek spacerowych. Też pod kopułami. Jest szlak sosnowy, brzozowy, wrzosowy, lawendowy i polny. Każdy liczy dwa kilometry. Dziennie trzeba pokonać co najmniej sześć. Wybór szlaku zależy od państwa. Z doświadczenia wiem, że największą popularnością cieszy się ścieżka lawendowa, dlatego już dziś odbędą się zapisy na spacery nią. Oczywiście w celu uniknięcia tłoku. Raz dziennie będziemy spotykać się również w pokoju pod gwiazdami, by dyskutować na ważne tematy egzystencjalno- filozoficzne. Tematem jutrzejszej dyskusji będzie zagadnienie „Raj - był czy nie.” Pod koniec turnusu odbędzie się też tradycyjna zabawa karnawałowa....
* Ale teraz nie ma karnawału... - zauważył drobny pan bez kapelusza.
* Właśnie.... - zawtórowała mu drobna pani w kapeluszu.

Jan westchnął.

* Nie szkodzi. Jesteśmy ludźmi wolnej woli i bezkresnego umysłu, zatem data nas nie ogranicza. Czy są jeszcze jakieś pytania i wątpliwości?

Nieśmiało rękę do góry podniósł starszy pan bez włosów:

* A co z lekarzami? W końcu to sanatorium....

Jan westchnął ponownie.

* Lekarze na Ziemi jak widać nie wyleczyli państwa, skoro trafiliście tutaj. Ja leczę metodami naturalnymi. A jeśli już koniecznie będą państwo chcieli pomocy służby medycznej, to mamy kilku specjalistów. Mieszkają tu z rodzinami i będą do waszej dyspozycji.
* A jakich są specjalności? - dopytywał się starszy pan.
* Psychiatra-gastrolog, psychiatra-kardiolog, psychiatra-ginekolog, psychiatra-endokrynolog i dentysta.
* Nie psychiatra?
* Nie. Normalny.

Informacja o balu przebierańców miała zmobilizować przyjezdnych do intensywnego myślenia o tym, za kogo się przebrać i kogo na balu zagrać. Oczywiście był to cel terapeutyczny, gdyż człowiek oddalał się wówczas myślą od spraw trudnych, które go na Marsa sprowadziły. Od lekarzy również, bo myślenie o leczeniu pogłębia chorobę. Taką metodę stosował Jan Kastorpowski i pewnie była skuteczna, bo ludzie na Marsa przylatywali, a interes kwitł.

I tak nowa grupa zaczęła werandowanie, spacerowanie i dyskutowanie. Czy Raj był czy nie, nie udało się podczas debaty filozoficznej ustalić, tak samo jak udzielić jasnej odpowiedzi na temat „Być czy pić, oto jest pytanie.” Nie końcowa odpowiedź była wszakże ważna, ale pobudzenie umysłów do myślenia. Na Ziemi bowiem człowiek myślał niewiele. Co miał wymyślić, to już wymyślił.

Wielkimi krokami zbliżał się bal przebierańców. Kuracjusze w tajemnicy jeden przed drugim szykowali stroje. W ich kształt wtajemniczony był jedynie personel sanatorium. Ktoś musiał przecież dostarczyć materiały do wykonania kostiumów takiego na przykład Kapitana Ameryki, postaci legendarnej i zapomnianej. Łatwiej było wykonać przebranie Ufoludka, bo nikt nigdy kogoś takiego nie widział i każdy ubiór mógł być wiarygodny.

Nadszedł dzień balu. Sala bawialna mieniła się wszystkimi odcieniami kolory czerwonego jako symbolu podstawowej barwy Marsa. Ze ścian rozlegała się muzyka w stylu vintage czyli jazz wzbogacony o dźwięki elektroniczne. Muzę miksował oczywiście Jan starając się, by wywarła wrażenie na jego gościach.

I pewnie tak by było przez cały wieczór, gdyby nie dwójka młodych ludzi. Jan już wcześniej zwrócił na nich uwagę. Trzymali się zawsze razem. Werandowali w tych samych pomieszczeniach o tej samej porze. Spacerowali po tych samych ścieżkach, a podczas dyskusji mieli identyczne zdanie na wszystkie tematy. Wyjątkowa zgodność charakterów. Teraz też przyszli ubrani identycznie. To znaczy nie ubrani w ogóle. Byli nadzy.

Gdy dumnie, z podniesionymi głowami, trzymając się za ręce, wkroczyli do sali balowej, wszystko zamilkło. Wszystkich zatkało. Jan przestał miksować, ludzie tańczyć, a czerwień stała się jednokolorowa.

* Dlaczego nic na sobie nie macie? - zapytał drobny pan bez kapelusza z tarczą Kapitana Ameryki.
* Bo jesteśmy przebrani za Adama i Ewę, tych z Raju... - wyjaśnił młodzieniec.

Dziewczyna uśmiechnęła się do partnera.

* Podczas pierwszej dyskusji mówiliśmy przecież o tej niezwykłej legendzie....

No tak, westchnął każdy z osobna i wszyscy razem. Jan też. W sumie powinien być zadowolony. Kostium, czyli brak kostiumu u młodych, to efekt jego metody naturalnego leczenia schorzeń wszelakich. Wrócił więc do miksowania i zabawa trwała nadal. Kiedy miała się już ku końcowi i zapowiedziano ostatni taniec, młodzi podeszli do niego z wypiekami na twarzy i nie tylko.

* Natychmiast musi pan zlecić przeprowadzenie operacji! Musimy wymienić się naszym wnętrzem! Bo my się kochamy! - zakomunikował podniecony młodzieniec.
* Bardzo się kochamy! - potwierdziła równie podniecona dziewczyna.
* W porządku. Zgłoście się jutro do gabinetu multimedialnego. Zrobimy lustrację ciała i dacie sobie wielowymiarowe fotki – zaproponował Jan – Będziecie mogli oglądać wnętrza w każdym wymiarze, prawie dotykać żołądka, płuc, a nawet jelit.
* Nie, to musi być prawdziwe wnętrze! Kładzie nas pan na stół i wytnie.... wytnie... kawałek wątroby! A potem to do pojemnika, zakonserwować formaliną...

Jana lekko przytkało.

* Formaliną? Skąd ja ją wezmę.... Tego już nie stosuje się od setek lat....
* Wyprodukuje pan on line. Odkąd można w ten sposób spłodzić dziecko, to reaktywować produkt sprzed lat też można.

Można.

Następnego dnia nasi zakochani leżeli w kapsułach operacyjnych, a cały system haczyków, uchwytów, klamerek i innych wymysłów wycinał im po kawałku wątroby. Potem wymienili się zamkniętym w sześcianach fragmentami swego wnętrza, przypieczętowali wszystko pocałunkiem, on został na kolejny turnus, a ona odleciała na Ziemię, bo nie było jej stać na opłacenie kolejnych miesięcy dalszej kuracji....

Minęły dwa miesiące. Turnus się kończył. On nadal uczestniczył w monotonnym życiu kuracjuszy i tęsknił, tęsknił.... Wreszcie doczekał się. Wysiadła z łodzi w purpurowym skafandrze. Ale nie była sama. Towarzyszył jej stary facet ze sztuczną szczęką, siwą brodą i krzywymi nogami. Wybuchnął płaczem. Zdrada! Zdrada!

* Dlaczego!? - zapytał, kiedy schodziła następnego dnia na śniadanie.
* Tak bardzo chciałam do ciebie, ale nie miałam forsy. Poszukałam więc sponsora... I jestem.
* Ale on ciebie …. on z tobą.... ty z nim... mieszkacie w jednym apartamencie.... no wiesz o czym mówię....
* Takie życie kochany, takie życie.... coś za coś....
* A ja każdego poranka, w samo południe i wieczorem dotykałem sześcianu, w którym jest kawałek twego wnętrza i tęskniłem... A ty?

Westchnęła.

* Właśnie.... nie wiem jak ci to powiedzieć.... Mój sześcian leżał na stoliku przy łóżku. I kiedy robiłam to ze sponsorem.... no wiesz co.... spadł. Potłukł się.... I wtedy nadbiegł piesek służącej, taki mały chihuahua i.... pożarł fragment ciebie.
* Mnie potraktował jako produkt spożywczy? - nie dowierzał.
* Taakkkk.... do tego ekologiczny, bo wątrobę masz wyjątkowo zdrową. Żadnych toksyn....

Młodzieniec zestarzał się w jednej chwili, oczywiście wewnętrznie. Stracił nadzieję wszelaką. Pobiegł do swego pokoju, zapakował się w skafander i zamówił charter na Ziemię....

I Jan go więcej nie zobaczył....

1. Z niemieckiego - nadzieja [↑](#footnote-ref-1)
2. Mann Tomasz, Czarodziejska góra, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1961 [↑](#footnote-ref-2)
3. Tokarczuk Olga, Empuzjon, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022 [↑](#footnote-ref-3)